

BADŹ CO BADŹ



Wampiryczny Pan Oczko

Większość antropologów zgadza się co do tego, że zanim słowiańską duszą zafalała chrześcijańska Bóg, władały nią rozmaite nieosobowe bóstwa i odrażające demony. Jednym z nich był przez lata upiór zwany Wąpierzem, protoplasta wampira.

IGOR WIECZOREK

Zanim ten obrzydliwiec zrobił światową karierę jako główny bohater kiczowatych horrorów, błąkał się po obrzeżach środkowo-wschodniej Europy i dręczył słowiańską duszę. A czynił to z takim uporem, perfidią i skutecznością, że w końcu słowiańska dusza skazała go na wygnanie. Wąpierz wyjechał do Anglii i ku wielkiemu zdziwieniu słowiańskich kulturoznawców zrobił zawrotną karierę jako niejaki Vampyre.

Wybitny znawca wampirów, Mickiewicz, był przekonany o tym, że przyczyn angielskiej kariery słowiańskiego demona należy szukać w odmiennym rozumieniu relacji między poezją a wiarą. O ile w kulturze słowiańskiej wiara rządzi poezją, o tyle w kulturze angielskiej poezja zarządza wiarą. W swoich prelekcjach paryskich Mickiewicz powiedział wyraźnie, że *Wiara w upiory jest wyłączona z poezji słowiańskiej. Mówi się bowiem o tym zabobonie z trwogą, a styl słowiański nie jest w stanie swobodnie zapanaować nad takim przedmiotem.*

Jeżeli Mickiewicz miał rację, a wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście ją miał, to znaczy, że nasza poezja nigdy nie zrobi zawrotnej, ogólnoswiatowej kariery z powodów ideologicznych. I chociaż sukces wampira nie jest najlepszym przykładem zasłużonego, podziwu godnego sukcesu, to przecież istota problemu, którą postać wampira wyraźnie symbolizuje, jest godna najwyższej uwagi. Wszak wampir to zło wcielone, a

zło wcielone to problem, z którym wypada się zmierzyć. Wiele wskazuje na to, że literatura polska boi się tego problemu jak diabeł święconej wody. Zwracali na to uwagę Brzozowski, Gombrowicz, Miłosz i kilku innych autorów, lecz problem wciąż jest otwarty.

W arcyciekawym eseju *O kulturze, która utraciła swój cień* krytyk literacki, Marek Lubański, postawił ciekawą tezę, że większość naszych pisarzy „wyjałowiona” urazem rosyjskim i niemieckim, nie chce, nie może i nie potrafi podejmować trudnych zagadnień egzystencjalnych i ustosunkować się do problemu zła w jego metafizycznym, a nie tylko geograficzno-historycznym wymiarze. To z całą pewnością prawda.

Na szczęście obok rzeczonej „wyjałowionej” większości istnieje też gniewna mniejszość, którą zło prowokuje do odważnego pisania na temat niepokojąco cienistej natury umysłu. Jednym z przedstawicieli owej gniewnej mniejszości jest chociażby Henryk Gała, poeta i dramaturg, który uraczył niedawno słuchaczy radiowej Trójki słuchowiskiem na temat ledwie uchwytej granicy między potrzebą miłości a seksualną przemocą.

Główny bohater dramatu to starszy samotny mężczyzna, który zabiega o względy ponętnej młodej kobiety. Podczas owych zalotów dopuszcza się drobnych kłamstewek, które z punktu widzenia adorowanej kobiety jawią się, nie bez kozery, jako zapowiedź gwałtu. Tak oto nieśczęsny samotnik przekształca się mimowolnie w wampirycznego Pana Oczko, który – co bardzo ciekawe – nie budzi żadnego strachu, a tylko szczerze współczucie. W tym sensie nie różni się wiele od realnego wampira, który jest w rzeczy samej sprofanowanym ciałem niewinnego człowieka.

O tym, że każdy wampir jest sprofanowanym ciałem niewinnego człowieka mówią nam archeolodzy, historycy i etnologowie, a o tym, że mniej realny, bo mitologiczny, wampir też może budzić współczucie, przekonał nas Werner Herzog, wybitny reżyser filmowy, który w ekranizacji powieści Brama Stokera „Dracula” ukazał figurę wampira w rewolucyjnym świetle jako ofiarę pustki tudzież bezsensu istnienia.

To dobrze, że taki poeta, jakim jest Henryk Gała, należy do tej mniejszości mistrzów polskiego pióra, którzy tak wielostronnie, odważnie i sardonicznie opisują cienistość prawdziwej natury ludzkiej, a nie jej promienny ideał.



Fredro inaczej

(Dokończenie ze strony 12)

I dalej: *Dziwna rzecz, im mniej wielkich ludzi tym więcej pomników i medali. Mógł być wyższy ponad to, ale zwyczajnie, po ludzku go to bolało. Nikt mu na przykład nie pamiętał, że w roku 1832 przechowywał dwóch powstańców z Wielkopolski. Za to pamiętano mu każde podyktowane troską o Polskę gorzkie zdanie. Może wtedy właśnie westchnął, co utrwalił słowem: Smutno,*

boleśnie, okropnie.

Czy próbował znaleźć oparcie w Bogu? Deklarował często, chociaż nie wprost, swoją niewiarę. A jednak napisał słowa znaczące więcej niż niejednen strzelisty akt wiary: *Nie pojmuję Boga, ale go czuję. Boga tylko sercem pojąć można, rozumem nigdy.*

Warto przedzierać się przez ten mroczny las rzeczy. Silva rerum, jak niektórzy nazywają swoisty dziennik autora „Trzy po trzy” czy „Zapiski starucha”, które prowadził do końca życia. U kresu swojej drogi także napisał: *Po co grzebieś w swojej przeszłości co tam znajdziesz? Na prawej drodze ciernie, obok nadziei zwątpienie. Obok szczęścia troski. O zachodzie słońca kwiaty najwonnniejsze, cienie wydłużają się, zarysy świata nikną, nie strach umrzeć, strach umierać.* Wcześniej jednak zapisał inną znamioną myśl: *Nie strach umrzeć, strach żyć.* Na pytanie więc dlaczego, mimo wszędzie, dostarczał widzom rozrywki swoimi komediami ,odpowiedzi znowu możemy doszukać się w wypowiedzi samego Fredry: *Lepiej jest sto leż otrzeć jak jedną wycisnąć.* Ile w tym czułości dla człowieka, ile empatii. To też tłumaczy wybory artystyczne Fredry: nie patetyczne dramaty, nie rozdrapywanie ran, a szukanie sposobu na otarcie lez. I może to zdanie powinno stanowić puentę naszych refleksji na temat autora, który nie wyrażał swoich poglądów wprost na kwestie etyczne, filozoficzne, polityczne, dotyczące rzeczywistości, która mocno mu doskwierała.

Jeszcze na koniec coś, co moim zdaniem tłumaczy szczególnie stosunek Andrzeja Łapickiego do Fredry. Fascynacja wierszem, doskonałością frazy, mistrzowskim dialogiem. Wszystko to prawda. I nie na darmo na swoje pięćdziesięciolecie wystawił Śluby Panieńskie w Teatrze Powszechnym, a wcześniej zrealizował kilkanaście spektakli Fredry w teatrze telewizji i bodaj jedenaście w teatrze dramatycznym. Ale jest jeszcze coś więcej. To pokrewieństwo dusz i losów. Tradycje patriotyczne, z jakich obaj się wywodzili i powściągliwość w wyrażaniu owego patriotyzmu. Chowanie własnych emocji za frywolnym niekiedy tonem, za wyłączeniem, z pozoru, profesjonalnym stosunkiem do materii dzieła. Krótki rys: Andrzej Łapicki urodzony w Rydze, ojciec Borys, profesor prawa rzymskiego, dziadek Hektor, wojewoda miński w czasie Powstania Styczniowego. Sam Andrzej Łapicki brał udział w Powstaniu Warszawskim, czym rzadko dzielił się w wywiadach. I właśnie to przechowywanie gdzieś głęboko swoich doznań, ta gorycz, ta ukrywana wrażliwość Fredry urzekła Łapickiego, gdy czytał jego zapiski z Kampanii Napoleońskiej, o czym sam mi przed laty mówił. Ten ogrom krzywd, które oglądał młody Fredro, krzywd ludzi, ale i zwierząt ,od obrazu których nie mógł się latami uwolnić. Dlatego obydwa w Janem Englertem przygotowali w Teatrze Narodowym spektakl szczególny, „Fredraszki”, gdzie Andrzej Łapicki miał pełnić rolę podwójną. Przemawiać we własnym imieniu i jednocześnie wcielić się w postać Aleksandra Fredry. Premiera przewidywana była na wrzesień. Niestety Andrzej Łapicki odszedł pewnego lipcowego ranka i może, gdzieś w zaświatach, w Niebiańskim Silva Rerum obaj mistrzowie mogą sobie wreszcie pogawędzić od serca.

Hanna Karolak